

Czy to jest wystarczająco indiańskie?

Włosy na wietrze. Słowo od tłumacza

Kiedy na początku lat 80. XX w. wypożyczyłem z gminnej biblioteki mojego rodzinnego miasteczka *Dom utkany ze świtu* Navarre'a Scotta Momadaya, byłem na etapie fascynacji pióropuszcami, frędzelkami, czarnymi włosami rozwianymi na wietrze. W pamięci miałem może już nie *Winnetou* Karola Maya, ale trylogię Krystyny i Alfreda Szklarskich *Złoto Gór Czarnych*. Obraz Indianina z Wielkich Równin mocno wrył się w moją wyobraźnię i wyznaczył ideał, do którego nieodparcie dążyłem. Abel, główny bohater powieści Momadaya, w niczym nie przypominał tego wojownika z Równin. Wtedy nie spodobała mi się ta książka, niewiele z niej skorzystałem, w niewielkim stopniu zgodziłem się na odmienność tubylczych kultur Południowego Zachodu. „Co to za Indianie”, myślałem sobie.

Jednak wkrótce zacząłem uciekać od wizerunku tych szlachetnych i strojnych w pióropusze. Przestałem w literaturze szukać potwierdzenia stereotypów, czyli wygodnego spojrzenia na życie. Za to w wierszach poetów i poetek tubylczego pochodzenia odnajdywałem coś żywego, uduchowionego, bliskiego, jakoś dziwnie znajomego; wtedy jeszcze nie zdawałem sobie w pełni sprawy, jak potężnym narzędziem jest słowo. W końcu nie przypadkiem Momaday za tytułował jeden ze swoich esejów *The Man Made of Words* (1979).

Pozwoliłem sobie na ten osobisty wstęp dlatego, że w ewolucji własnego myślenia odnajduję podobieństwa drogi, jaką przebyła indiańska poezja od końca XX w., kiedy przygotowywałem jej pierwszą w języku polskim prezentację do „Literatury na Świecie” (nr 2 z 1989 r.), aż do niniejszego wydania „Literatury Ludowej”.

Przesiedleni do wielkich miast, z dala od własnych wspólnot, wykształceni w szkołach pozarezerwatowych, indiańscy twórcy często zaczynali od stereotypu, tzn. od przypominania tych wszystkich obrazów, symboli, rekwizytów, które amerykańskiemu społeczeństwu mogą kojarzyć się z pierwszymi mieszkańcami kontynentu. Miało to określony cel: pokazać, że potomkowie historycznych Indian nie zniknęli w amerykańskim społeczeństwie, mimo lat wzmożonej akulturacji prowadzonej przez państwo, włącznie z próbą zlikwidowania

wania rezerwatów. Głos pisarzy, muzyków, artystów tubylczego pochodzenia współbrzmiał z głosem działaczy społecznych i politycznych, należących głównie do Ruchu Indian Amerykańskich (AIM). Tubylczy Renesans (ang. *Native American Renaissance*) zaczął się w latach 60. XX w. od literatury, ale systematycznie obejmował wszystkie dziedziny życia współczesnych Amerykanów tubylczego pochodzenia.

Twórczość literacka stała się też narzędziem do odkrywania własnej tożsamości, do jej konstruowania na nowo, do przypominania sobie, skąd się pochodzi, co się przeszło, ale też co zostało już zapomniane. W licznych utworach przewijały się te same motywy: uczestnictwo w festiwalu *pow-wow* czy w obrzędzie *sweat lodge*, znaczenie kręgu i czasu cyklicznego, poczucie więzi z ziemią, skontrastowanie życia w mieście z życiem w rezerwatowej wspólnotcie. Często pojawiała się postać babci, która stała się żywą pamięcią i przekazywała młodemu pokoleniu doświadczenia swego ludu, choć warto podkreślić, że przekaz ten często był już niepełny, zakłócony elementami pochodzącymi z różnych tradycji tubylczych. Wynikało to m.in. ze wspólnego zamieszkiwania danego rezerwatu przez kilka grup plemiennych, z nauki w szkołach z internatem, do których kierowano dzieci z różnych plemion, i w końcu z powodu mieszanych małżeństw. Powstały w ten sposób panindiański wizerunek zaczął się przebijać do głównego nurtu, przyzwyczajając odbiorców do nowych stereotypów i wyznaczników „indiańskości”.

Teraz, po latach, widzę, że mamy do czynienia z sytuacją odwróconą: już nie trzeba się wyróżniać ani powoływać na symbole, żeby spośród różnych tożsamości kulturowych, których przedstawiciele ma się w swojej genealogii, właśnie przynależność do grupy plemiennej uznać za tę najważniejszą dziś dla siebie tożsamość. Nie trzeba pisać o Matce Ziemi, o bluzie z frędzelkami czy życiu w rezerwacie, żeby być poetą czy poetką o tubylczym pochodzeniu. Oczekiwanie, że literatura tubylcza będzie poruszać się tylko po bezpiecznym gruncie i utwierdzać czytelnika w dotychczasowych przekonaniach, jest kolejną formą kolonializmu. Przeciwnie, tubylczy poeci mogą mówić własnym głosem, pokazywać, jak realizują swoje człowieczeństwo, jak radzą sobie z historycznymi traumami; mogą eksplorować swe powinowactwo z ziemią i odsłaniać przed czytelnikiem zjawiska, których istnienia czasem nawet nie przeczuwał.

Już nie szukam włosów na wietrze, choć z sympatią odkrywam wszelkie jawne i niejawne tropy prowadzące w głąb indiańskich kultur. Na koniec zawsze okazuje się, że łączy nas – poetę i czytelnika – znacznie więcej, niż się z pozoru wydaje. Człowiek utworzony jest ze słów.

Marek Maciołek

nila northsun

jutro mam być indianką

wróciłam do Nevady
bo ktoś postanowił
że potrzebują tubylca
do audycji radiowej
pomyślałam sobie
to miło z ich strony
więc ego pchało mnie
200 mil przez góry zasypane śniegiem
ale teraz
tuż przed wywiadem
czuję niepokój
„indiańskiego wiersza” nie napisałam
od dawna
może tylko 1 na 100
dotyka mojej plemienności
myślą tak bo
bycie tubylczą Amerykanką
oznacza że cokolwiek
piszę jest jakoś zakorzenione
w tubylczości
ale przerzucając kartki
w 3-ringowym segregatorze
nie znajduję ani słowa
o matce ziemi piórach czy rezerwacie
mimo że
chodzę po matce ziemi
że przy wstecznym lusterku
wisi orle pióro
że po wywiadzie
pojadę do rezerwatu
odwiedzić rodzinę

czy to jest wystarczająco indiańskie
dla nich? nie wiem
chyba będzie musiało wystarczyć
jutro
pomyślę więcej
o byciu indianką

Z tomu *love at gunpoint* (2007); przekład i publikacja za zgodą autorki.

nila northsun – poetka, Szoszonka/Czipewejka. Wydała sześć tomów poezji: *diet pepsi and nacho cheese: poems* (1977), *coffee, dust devils and old rodeo bulls: poems* (1979), *small bones, little eyes: poems* (1981), *a snake in her mouth: poems 1974–96* (1997), *love at gunpoint* (2007) oraz *whipped cream and sushi* (2008). Jest także autorką historii plemiennej Pajutów i Szoszonów z rezerwatu Fallon w Nevadzie: *After the Drying Up of the Water* (1980).

*

Karenne Wood

Moja zwyczajowa odpowiedź

I.

Pierwsze pytanie zawsze brzmi tak:
„No to co masz w sobie indiańskiego?”.

II.

Nie mieszkaliśmy w tipi.
Nie splataliśmy włosów w warkocze.
Nie nosiliśmy koszul z frędzlami.
Nie zakładaliśmy pióropuszy wojennych.
Nie uganiaiśmy się za bizonami.
Nie chodziliśmy z tarczami.
Nigdy nie byliśmy Indianami z Równin.
Próbowaliśmy trochę jeździć,
ale ciągle spadaliśmy z naszych psów.

III.

Do naszego biura przyszedł urzędnik i poprosił o pomoc w zorganizowaniu miejskiej imprezy. Ma znakomity pomysł, powiedział. Na otwarcie imprezy, żeby każdy w mieście zobaczył, że nasze plemię wciąż tu jest, powinniśmy udać się na urwisko, górujące nad miastem, i puścić wielkie sygnały dymne. Wtedy wszyscy by wiedzieli, że tam jesteśmy.
Kto słyszał o sygnałach dymnych w lesie? Już to widzę, jak stoimy na urwisku, odpalając podpałkę do kominka. Nie paliliśmy ognisk od powstania drużyn skautowskich. I niby skąd obywatele miasta mieliby wiedzieć, że to właśnie my? Prędzej by wezwali straż pożarną.

IV.

Zadając to pytanie, myślą sobie, *no tak, widać to po jej twarzy. Wysokie kości policzkowe (cokolwiek to znaczy) i ciemne włosy.*

Zaraz, zaraz: czy my wszyscy nie mamy wysokich kości policzkowych? Inaczej zapadłyby się nam twarze. (Za to mam nosa do kolonizatorów).

Męczy mnie to ciągle wyjaśnianie.

„Wiesz – mówię w końcu – dla moich ludzi to nie ma znaczenia”.
Jadę do domu w stylu ranczo.
Czas wpleść koszyk albo coś.

Z tomu *Markings on Earth* © 2001 Karenne Wood; publikacja za zgodą University of Arizona Press.

Jedna na trzy albo cztery

Za dużo nas, żebyś miała uwierzyć,
że jesteś jedyna albo sama sobie
winna. Żadna kobieta się o to
nie prosi. Niektóre są dziećmi. Niektórzy to
chłopcy. Każdą z nas powinno się
wysłuchać. Jak Annę, lat 17, którą po wszystkim
jeszcze pobito i zostawiono na śmierć;
jak Nathana, 11-latka ubóstwiającego
trenera koszykówki; Rosaline, która
w niemowlęciu widzi twarz gwałciciela
i już wie, że trudno jej będzie tę twarz
pokochać; o siostrach, kiedy przyszli żołnierze,
o matkach więzionych między strażnikami,
o ciotkach babcicach córkach synach,
o tej, którą związano, i o tej, która próbowała
krzyczeć, tej, której przyglądał się mąż,
tej gwałconej raz za razem, tej rozerwanej,
która zadzwoniła na policję, ale ta się nawet
nie pofatygowała, która udała się do
przychodni, gdzie brakowało pakietu do testów,
która wstyd zagłuszała narkotykami,

która piła wciąż za mało, żeby zapomnieć,
która odebrała sobie życie, która uwierzyła,
że jest przedmiotem, która się nie przyznała, która
wiedziała, że nikogo przy tym nie ma, że nigdy
nikogo przy tym nie będzie. Wiedz jedno: jest
nas tyle, że gdybyśmy mogły mówić,
to głosy jak powódź wlałyby się
im w buciory i wezbrane przekroczyły wszelkie tamy
bezpieczeństwa; że gdybyśmy wykrzyczały to razem,
może w końcu byśmy zrozumiały, że to
napaść na człowieczeństwo, na cały świat, i że
może wtedy zapanowałaby sprawiedliwość
w tej wojnie upominania się o siebie, w walce
pozostawiającej ślady na ciele każdej kobiety
albo dziecka, które dowiedziało się, co znaczy być
wykorzystanym, jak właśnie ty, twoje święte ciało.

Z tomu *Weaving the Boundary* © 2016 Karenne Wood; publikacja za
zgoda University of Arizona Press.

Lilie

Kiedy się dowiedziałam, że mogę mieć raka,
kupiłam piętnaście białych lilii. Wielkanoc już minęła:
kielichy zwiędły, powyginane roślinki miały korzenie
zwinęte w doniczce. Posadziłam je w ogrodzie,
wiedząc, że nie zakwitną aż do następnego roku.
Przez całe lato łodygi sterczały jak koślawe sztachety,
a ja czekałam na wyniki. Jesienią
się przewróciły. Kolejne biopsje, nacięcia laserem,
rakowa narośl na języku wciąż się powiększa. Za oknem
opustoszała ziemia, kłacza tkwią skurczone
w zamrożonej glebie. Wiosną wystrzeliły
jasnozielone pędy, lilie zakwitły
w lipcu, ich woskowate, czysto białe kielichy
sypią złotym pyłkiem po ziemi.

W tym roku
wyrosły po trzy nowe pędy. Czekam, to cały rytuał,
aż otworzą się lilie, aż moje serpentyny
na ogrodzie zakwitną, jak ta blizna na języku,
białą ścieżką, jeden koniec wychodzi na czysty przestwór,
drugi wpada w czelusć gardła, czarną
i bezwzględną. Próbuję sobie wyobrazić,

co może urosnąć w takiej ciemności. Czekam,
aż otworzą się lilie.

Z tomu *Markings on Earth* © 2001 Karenne Wood; publikacja za zgodą
University of Arizona Press.

Nazywanie

Czasami nocą czujemy kosmatą ciemność
oddechu kogoś pradawnego, uwięzieni
po przebudzeniu, poszatkowani
przez zdarzenia, których już sobie nie przypominamy.
Możemy dotknąć parapetu,
na którym październikowe powietrze zbiera się
jak godziny wślizgujące się w cienkie futra,
leśny koncert na głosy.
Ostatnie świerszcze odstawiają swe piosenki.

Ziemia mówi, czerpie język
z własnego ukształtowania –
potężne masywy gór
to błękitne płetwale, pamiętające
czasy podmorskich grzbietów,
a rzeki to wijące się mielizny
wybite ze srebra, zaś mroczne drzewa
rozmawiają z wiatrem – splata śmiertelne życie,
bicie bębna, słupy dymu,
głosy drżące przy prądzie wstępującym,
opowiadacz uchylający terazniejszość.

Z tomu *Weaving the Boundary* © 2016 Karenne Wood; publikacja za
zgodą University of Arizona Press.

Karenne Wood (1960–2019) – poetka i antropolożka z ludu Monacan z Wirginii. Opublikowała dwa tomy wierszy: *Markings on Earth* (2001) i *Weaving the Boundary* (2016). Jej poezje ukazywały się także w licznych antologiach. Opracowała też *The Virginia Indian Heritage Trail* (2007), zbiór szkiców historycznych przedstawiających punkt widzenia ludów tubylczych ze stanu Wirginia. Była członkinią Rady Plemiennej ludu Monacan, a w Radzie Virginia Humanities nadzorowała programy dla Indian z tego stanu. Współpracowała z Narodowym Muzeum Indian Amerykańskich (NMAI) i zasiadała w Komisji Repatriacyjnej Krajowego Kongresu Indian Amerykańskich (NCAI).

Marcie Rendon

Wytrzymałość

Moja mama w siódmej klasie uciekła ze szkoły z internatem w Dakocie Południowej do domu w rezerwacie White Earth, w epoce, kiedy nie było autostrad, telefonów komórkowych i mapy w Googlach. Ta determinacja i umiłowanie życia to wytrzymałość.

Tubylczy ojciec w Perkins, po pracy do późna, siedzi z dwuletnim maluchem w krzeselku do karmienia. Tłumaczy, że matka stanęła w drzwiach z dzieckiem, o którego istnieniu nie miał pojęcia, i powiedziała: „Masz, dwa lata niańczyłam, wystarczy. Jest twoje”. Nie wahał się, czy postąpić właściwie. To jest wytrzymałość.

Kobieta, której dziecko zabrała opieka społeczna, ponieważ wpadła w sidła uzależnienia i życia na ulicy. Trafiała do więzienia. Pięć lat spędziła na odwyku, chodzeniu na terapie, słaniu petycji do sądu mimo wszelkich przeciwności, żeby odzyskać prawo opieki nad dzieckiem. To jest wytrzymałość.

Poetka z niełatwym dzieciństwem w Oklahomie. Wytrzymałość natchnęła ją słowami, które spisuje, dziś jest pierwszą poetką Ameryki. Wytrzymałość natchnęła też jej serce muzyką, którą wydobywa z saksofonu, lecząc serca słuchaczy.

Tubylczy Artysta żyjący ze zbierania porzuconych na ulicy szminek i cieni do powiek, którymi tworzy obrazy godne galerii. Tworząc piękno z piękna odrzuconego. To jest wytrzymałość.

Mój ojciec, razem z tysiącami innych ojców, przez więcej pokoleń, niż potrafimy spamiętać, żył samotnie, nie zmieniając miejsca zamieszkania, i czekał, czekał i czekał, aż wrócą dzieci. To jest wytrzymałość.

Mężczyźni, którzy poszli do więzienia – którym udało się wyjść i znaleźć zajęcie, którzy założyli rodziny i podejmowali pracę znacznie poniżej swych kwalifikacji; którzy zostali przewodnikami *sweatu*, tancerzami słońca i opiekunami fajki. To jest wytrzymałość.

Dzieci, wychowywane w rodzinach z dala od swej kultury, które za głosem serca wróciły do domu – znosząc odrzucanie, ośmieszanie, kwestionowanie tożsamości – ale zostały, włączając się do wspólnoty, do plemienia. To jest wytrzymałość.

Matki – które, z poczuciem wstydu albo i bez, stawały w kolejce do punktu Armii Zbawienia po zabawki ze zbiórek, w kolejkach do półek z jedzeniem; które co rusz przesiadywały w punktach opieki społecznej, bo tylko w ten sposób mogły utrzymać rodzinę. To jest wytrzymałość.

Nasi krewni nigdy nie uchylali się od pójścia do wojska, na wojny, które nigdy nie były nasze. Szyfranci, szczury tunelowe, snajperzy, zwiadowcy, sanitariusze. Giną w walce, bo tak właśnie postępujemy. Albo wracają do domu i maskują ból najlepiej, jak potrafią, i noszą flagę podczas Wielkiego Wejścia. Albo i nie. To jest wytrzymałość.

Ludzie, którzy dają więcej, niż sami dostają. Matki, które kochają swe dzieci, ojcowie, którzy nie odchodzą. Dziadkowie, którzy opiekują się dziećmi nawet, kiedy sami siedzą na wózku.

Tworzymy piękno z odpadów. Sztukujemy samochody taśmą samoprzylepną. Chwytny się różnych zajęć i sprzedajemy wyroby z koralików dla pieniędzy, żeby „trochę dorobić”. Smażymy *frybread*, choć wiemy, że nie służy cukrzykom, ale za to jest dobry dla ducha.

Wytrzymałość to podejmowanie decyzji, na których korzystają wszyscy, nie tylko jednostka. To ciągle podnoszenie się i parcie do przodu, nawet jak się nie chce. Taką mamy wytrzymałość.

Z antologii *Living Nations, Living Words* (2021); przekład i publikacja za zgodą autorki.

co ma zrobić indianka?

co ma zrobić indianka
kiedy białe dziewczyny zachowują się
bardziej po indiańsku niż ona sama?

przy *takonsala* łamie mi się język
dukam pod nosem *mitakuye oyasin*
w odźbuejskim poprawia mnie
jasnowłosa studentka U stanu M

co ma zrobić indianka?

ku wielkiemu przerażeniu eks-męża
nigdy nie nauczyłam się potulnej,
uduchowionej,
postawy tubylczej kobiety
nogi razem, skulone ramiona, spuszczone głowa
trzy kroki z tyłu

moja matka z mężczyznami pracowała i walczyła
przemierzała pola
z workami ziemniaków po 50 kilo każdy na plecach szerokich jak u chłopca
najbardziej tradycyjną rzeczą
jakiej nauczył mnie dziadek
było tak zaczarować kij do bilarda
żeby wygrać

więc nigdy nie nauczyłam się indiańskich
sztuk pięknych
w których biegłych jest tyle białych kobiet
jadę czasem na *pow-wow*
widzę, jak sprzedają towar
jakoś kryształki
przyszyte do skórzanych woreczków
nie poruszają mego indiańskiego serca

to co ma zrobić indianka?

pamiętam Kathy – Tę Która Widzi Światła Ducha
kiedy była jeszcze
Katrinną Olson z Mankato w Minnesocie
a Krukowata Kobieta?
kurde, przysięgam, że znałam ją
kiedy była Żydówką
z St. Paul

gdy ja siwieję
one co miesiąc mają
czarniejsze włosy
z roku na rok
mocniejszy
rezerwatowy akcent

myślałam, że
reinkarnacja dotyczy
tylko zmarłych

nie?

co ma zrobić indianka
kiedy białe dziewczyny zachowują się
bardziej po indiańsku niż ona sama?

Z tomu *Dreaming into Being* (2013); przekład i publikacja za zgodą autorki.

Marcie Rendon – Anishinaabe z White Earth Nation z Minnesoty, poetka, pisarka i działaczka społeczna. Wydała tomiki wierszy *Dreaming into Being* (2013) i *Anishinaabe Songs for a New Millenium* (2024). Jest autorką cyklu powieści kryminalnych o Cash Blackbear: *Murder on the Red River* (2017), *Girl Gone Missing* (2019) i *Sinister Graves* (2022), a także powieści *Where They Last Saw Her* (2024). Opublikowała cztery sztuki teatral-

ne, w tym *Say Their Names* (2021) o zaginionych i zamordowanych tubylczych kobietach, jak również książkę dla dzieci *Stitches of Tradition* (2024). W 1996 r. założyła Raving Native Theater i obecnie pełni w nim funkcję dyrektorki artystycznej.

*

Hershman R. John

Ulewny Męski Deszcz

Powietrze tańczy z mokrym piaskiem na złotych wydmach.
Koń zaczyna się niepokoić
łoskotem grzmotów w oddali.
Kurz pochłania niebo niczym fala przyływu.
Nadciąga wielka burza.

Powoli zajmuje całe niebo, gniewna.
Jest wielka, kłębiasta i gęsta, pręży szare mięśnie.
To męska chmura burzowa, jak powiada Babcia.
„Kiedy chmury się zezłoszczą, krzyczą grzmotem i deszczem.
To Męski Deszcz”.

Nagle podmuchy wiatru sypią mi piasek w oczy. Zaczynam mrugać.
W wysychających kałużach po wczorajszej burzy widzę twarz Darcy.
To młoda Żydówka z Phoenix,
Przyjaciółka, która też się boi Męskiego Deszczu.
Ten strach ściągnął na nią brat Ean.

Na mnie Babcia.
Kazała dzieciom siedzieć cicho i nie gadać podczas burzy,
bo inaczej uderzy w nas piorun.
Kiedy Darcy była mała, lubiła przesiadywać w oknie
I patrzeć na pokaz błyskawic w porze monsunowej.

Do siostry przy oknie podszedł Ean,
wyszczerył zęby, jak to nastolatek, i powiedział:
„Wiesz, jak staniesz za blisko okna,
złapie cię *kugelblitz*”.
„*Kugelblitz?*” – spytała.
„Taa, będzie cię gonił piorun kulisty”.
Już nigdy nie oglądała pokazu błyskawic.
Zamiast tego nocą w łóżku, podczas burzy, popłakiwała cicho.
Dolewając żydowskie łezki do monsunowego deszczu.
Tę historię opowiedziała mi w deszczową noc.

Ja opowiedziałem jej o Męskim Deszczu i czego nie robić w czasie burzy.
Ona opowiedziała o Eanie i jego historyjce z *kugelblitz*.
Widzę, że Żydzi i Nawahowie nie różnią się tak bardzo.
Wszyscy boimy się burzy z piorunami.
Przeszliśmy też inne burze, których się baliśmy.
Ona miała Holocaust
Ja – Amerykę.

Światło błyskawicy... Potem grzmot...
Popędzam konia, żeby zdążyć przed burzą.

Z tomu *I Swallow Turquoise for Courage*, The University of Arizona Press (2007); przekład i publikacja za zgodą autora.

Hershman R. John – Diné. Urodził się w Kalifornii, ale wychowywał w Arizonie, w rezerwacie Nawahów (Diné). Studiował na Uniwersytecie Stanu Arizona. Wydał tom wierszy *I Swallow Turquoise for Courage* (2007). Jest wykładowcą w Phoenix College w stanie Arizona.

*

Beth Piatote

Lekcja koralików

Najpierw porozkładaj wszystkie koraliki, o tak, kolorami, od jasnego do ciemnego, jak w tęczy. Zaczniemy od czegoś prostego, tak jak to robię z dziećmi w szkole, w rezerwacie skonfederowanych plemion Cayuse, Umatilla i Walla Walla.

To co? Zrobisz kolczyki dla mamy? Dobrze, na pewno się jej spodobają.

Przypominasz mi te dzieci, siostrzenico. To dobrze! Dobrze, że myślisz o mamie.

To zaczynaj, wybierz kilka kolorów, które mogą się jej spodobać. Trzy, cztery, nie więcej, weź też kilka tych rurkowych koralików.

O tak, bardzo dobrze, tyle że masz za dużo ciemnych kolorów.

Aaa, lubisz ciemne kolory. No tak, zawsze, gdy cię widzę, masz na sobie coś ciemnego. Ja przeciwnie. Lubię założyć coś czerwonego i żółtego, żeby ludzie wiedzieli, że jestem w pobliżu, i nie próbowali obgadywać mnie za plecami.

Chodzi o to, żebyś użyła kilku jasnych kolorów, bo robisz to dla mamy, prawda? Ona ma ciemne włosy, a chcesz, żeby kolczyki się odróżniały, więc jeśli użyjesz samych ciemnych kolorów, to nie będzie widać wzoru.

Wzięłam trochę nici dla ciebie i wosk. Utnij nitkę na takiej długości, nieco więcej niż twoje ramię, ale nie może być za długa, bo albo się zapłącze, albo zerwie. Teraz nawoskuj nitkę, o tak, aż zrobi się sztywna. Dzięki temu będzie mocna i tak łatwo się nie popłącze.

Schowaj resztę do pudełka. Przyniosłam je dla ciebie, możesz wziąć ze sobą do domu, a potem do akademika, żebyś mogła robić następne rzeczy z koralików.

Podoba ci się tam, na uniwersytecie? A wiesz, że twoja kuzynka Rae niedługo kończy studia? Jeszcze tylko praktyki i koniec. Jej chłopak chyba nie lubi, że się tyle uczy, a to ją ogranicza. Dobrze, że ty jeszcze nie masz chłopaka. Chłopcy naprawdę potrafią sprawić dużo kłopotów, przeszkodzić w osiągnięciu obranego celu.

A teraz popatrz na to. Tak się robi pętelkę. Robisz oczko, o, tak, a teraz nawijasz nitkę na igłę trzy razy, widzisz? Widzisz, jak trzymam ręce? A gdybyś zapomniała, pomyśl tylko o ułożeniu rąk, właśnie tak, a zaraz ci się przypomni, jak zrobić oczko, tak? Teraz przeciągasz igłę aż do końca – dobrze – i odcinasz ogonek.

Pokażę ci, jak łatwo robi się kolczyki, od tego zawsze zaczynam zajęcia z mężczyznami w więzieniu. Wiesz, jeżdżę tam i przeprowadzam z nimi lekcje zdobienia koralikami. Żebyś wiedziała, jakimi artystami są niektórzy z nich. Bardzo się starają, niektórzy dochodzą do perfekcji.

Owszem, mają na to dużo czasu, ale zrobienie dobrej ozdoby z koralików wymaga wiele, bardzo wiele wysiłku.

Nie śpiesz się tak, skup się.

Znam pewnego człowieka, ma na imię William i byłby artystą, gdyby nie siedział w więzieniu. Pokażę ci, dał mi rysunek orła, który wykonał. Wygląda prawie jak zdjęcie, ale on używał tylko ołówka. Ale to dobrze, spodoba ci się. Znam jeszcze paru innych indiańskich więźniów – pewnie powinniśmy mówić o nich mieszkający razem, ale ja zawsze nazywam ich więźniami – i czasami dostarczam im wzory, według których wykonują potem swoje ozdoby. Chodzi o to, że oni nie dysponują koralikami w zbyt wielu kolorach.

Mimo to lubią koraliki. Zawsze mają coś do podarowania swojej dziewczynie, gdy przyjedzie na widzenie, albo matce czy ciotce.

Musisz schować pętelkę w ostatnim koraliku, widzisz, i dlatego uważaj, żeby pętelka nie była za gruba.

Może następnym razem, gdy przyjedziesz, w więzieniu będzie *pow-wow* i spotkasz moich uczniów, którzy pokażą ci swoje dzieła. Zdaje się, że zwykle organizują je w listopadzie, w okolicy Dnia Weteranów. Ostatnio z Montany przyjechał twój kuzyn Carlisle z rodziną, i jedyny szkopał w tym, żeby przyjechać odpowiednio wcześniej, bo przejście przez bramki z całym tym ekwipunkiem zabiera mnóstwo czasu. Muszą sprawdzić wszystkie rekwizyty, ostatnim razem mało brakowało, a nie wpuściliby Carlisle'a ze *staffem*, bo stwierdzili, że stanowi zagrożenie czy coś tam.

Co? Nie wyszło? Nieee, może być. Teraz po prostu zrób dokładnie drugi taki sam i każdy pomyśli, że to było celowo.

Twojej mamie naprawdę powinny się spodobać te kolczyki. Myślę sobie czasem, że ona chciałaby umieć posługiwać się koralikami, ale gdy była mała, nie chciała się uczyć. Była najmłodsza i, według mnie, trochę rozpieszczona, ale nie powtarzaj jej tego. Nigdy nie musiała robić tego, czego nie chciała, nie musiała nawet jechać do szkoły z internatem. Według mnie spodobałoby się jej

tam. Nie miałam źle w tej szkole. Zakonnice były dla mnie dobre, wręcz przepadały za mną. Byłam ich ulubienicą. Według mnie twoją mamę coś ominęło, że nie chodziła do Szkoły św. Andrzeja, bo to był czas budowania głębokich więzi z innymi Indianami.

Podoba mi się ten błękit. Chyba ci uszyję suknię z karczkiem w tym kolorze.

Będziesz w niej dobrze wyglądać, gdy zaczniesz tańczyć. Gdy już wciągniesz się w koraliki, zabierzemy się za mokasyny, a wiesz, twój kuzyn Woody robi dla ciebie pas, wiem też o pani, która szykuje dla ciebie torbę plecioną z łupin kukurydzianych. Będziesz wyglądać jak twoja mama za młodu, chociaż ona była nieco młodsza niż ty, gdy ostatni raz miała na sobie coś z koralików.

Długo się zastanawiałam, czy będziesz podobna do ojca, ale teraz, gdy urośłaś, jestem pewna, że wdałaś się w nią. Patrząc na ciebie, myślę, że siostra musiała mieć silną krew.

Co ja widzę, idzie ci całkiem dobrze, kochanie. Masz „dar” – dobry wzrok! Wiesz, zawsze będziesz czymś zajęta, bo ludzie wciąż potrzebują czegoś na śluby, rocznice czy pierwszy występ, będą kompletować swoje stroje. Prawie wszystko, co zrobię, rozdaję, choć ludzie płacą mi za zamówienia specjalne. W sklepach z upominkami zawsze szukają moich wyrobów. Koraliki pozwoliły mi przetrwać ciężkie czasy, kilka chudych lat.

Musisz jednak uważać na niektórych ludzi. Większość jest w porządku, są wielkoduszni. Ale są i tacy, którzy po zakupie u ciebie wyrobu z koralików myślą, że będzie im służył wiecznie. Gdy komuś zepsuje się samochód, wie, że musi zaprowadzić go do warsztatu i zapłacić, żeby znowu móc jeździć. Ale z wyrobami koralikowymi to tak nie działa – nie z czymś, co wytworzył Indianin. Nie, przychodzą po dziesięciu latach i chcą, żeby im to naprawić za darmo! Myślą, że skoro robi to Indianin, ma to być na wieczność. Pomyśl tylko, gdyby Indianie zastosowali tę metodę do wszystkiego, co zrobił nam rząd. No co jest, macie to naprawić za darmo!

Zrobiłaś już? Pokażę ci wykończenie. Przeciągasz nitkę przez ten rząddek, widzisz, obcinasz i koralik wszystko przykrywa. Pięknie.

Doskonale. Jestem z ciebie dumna.

Myślę, że mamie spodobają się te kolczyki i, kto wie, może przyjdzie i poprosi, żebyś też ją tego nauczyła. Myślisz, że będzie kiedyś chciała się zająć koralikami? A może tak przyjdzie do mnie po prośbie, co?

Jak sądzisz? Twoja mama będzie chciała się nauczyć czegoś od starszej siostry? Mam wiele uczennic. Raz zadzwoniła do mnie pewna pani, pracuje w ośrodku zdrowia, jest starsza od ciebie i chce poznać sztukę zdobienia koralikami. Jasne, odparłam, nauczę ją. Nauczę każdego, kto będzie chciał. Po prostu myślę sobie, że jeśli jeszcze tu trochę pobędzie, każdy wróci i mnie poprosi, nawet twoja mama.

Z tomu *The Beadworkers. Stories* (2019); przekład i publikacja za zgodą autorki.

Beth Piatote – pisarka Ni:mi:pu:. Wydała tom opowiadań *The Beadworkers. Stories* (2019), a także zbiór esejów literackich *Domestic Subjects: Gender, Citizenship, and Law in Native American Literature* (2017). Wykłada na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley.

*

David Heska Wanbli Weiden

Mikey

Zadzwoiła do mnie starsza kobieta, błagając, bym sprawdził, co słychać u jej wnuczka Mikeya, który mieszkał z jej synem i jego dziewczyną gdzieś koło Parmelee. Szalała właśnie jedna z tych okropnych śnieżyc, trzydzieści stopni poniżej zera, a ona nie miała żadnych wieści od matki dziecka, która pochodziła spoza Dakoty Południowej. Prawie wszystkie rodziny w okolicznych osiedlach ogrzewały domy gazem i czasem ludzie zamarzali na śmierć, gdy skończyła im się butla. Powiedziała, że syn szuka pracy w Sioux Falls, ale w przyczepie została ta dziewczyna z chłopczykiem, który miał dopiero dwa lata. Widziałem ją raz w sklepie – młoda, miała z dwadzieścia dwa, może dwadzieścia trzy lata, rude włosy i kolczyk w nosie. Chłopczyk był uroczy, przypomniał mi się jego tiszert z Supermanem i uśmiech od ucha do ucha.

Odpaliłem samochód i powoli ruszyłem na północ, omijając zasy i starając się utrzymać na drodze. Chwilę trwało, zanim znalazłem tę przyczepę zasypaną śniegiem, nie było żadnych tabliczek ani numerów, którymi mógłbym się kierować. Staruszka powiedziała, że poznam to miejsce po wielkim malunku Myszki Miki na masce przyczepy. Po chwili wypatrzyłem ją. Autor malunku Rembrandtem nie był, a sam rysunek przypominał bardziej Barta Simpsona niż Myszkę Miki, ale przynajmniej udało mi się go znaleźć. Był to ford taurus zaparkowany z przodu, zaraz za ogrodzeniem.

Założyłem czapkę, rękawiczki, bluzę z kapturem i kurtkę, żeby stawić czoła przenikliwemu zimnu. Mimo że byłem tylko ze sto mil od domu, tu było zimniej i czułem, jak mi zamarza w nosie, gdy tylko wysiadłem z samochodu. Zapukałem w drzwi przyczepy, ale nikt nie odpowiadał. Odczekałem chwilę i zacząłem walić mocniej. Zimno było dotkliwe i nie mogłem czekać na zewnątrz dłużej niż minutę–dwie. Jeszcze raz zapukałem, a potem spróbowałem otworzyć drzwi. Ku memu zdziwieniu nie były zamknięte i wszedłem.

W środku było zimno, ale nie lodowato. Co za ulga. Rozejrzałem się po małym pokoiku. Puste puszki po piwie, same bud lighty, może z dwadzieścia walających się po podłodze. Pusta butelka po smirnoffie, z tych większych. I smród zwięzłego piwa, intensywny pomimo mrozu. Nie było nikogo. Pomyślałem, że dziewczyna z synem schroniła się u sąsiadów, żeby przeczekać zamieć.

– Halo, jest tu ktoś?

Bez odpowiedzi.

Podszedłem do łazienki, sąsiadującej z maleńką kuchenką. Nikogo. Drzwi do sypialni były zamknięte. Właściwie nie były to drzwi, a przesuwna harmonijka z winylu, niezapewniająca pełnej prywatności. Przesunąłem ją na bok, zmarznięty winyl stawiał opór.

Na podłodze leżała kupka ubrań, a pod ścianą stało łóżko Murphy'ego, takie chowane w szafie, z czterema–pięcioma kocykami. Zastanawiałem się, czy powinienem pojechać do sąsiadów, gdy zauważyłem, że kocyki się poruszyły. Próbowałem sobie przypomnieć imię kobiety – Rose?

– Hej, jest tam ktoś? – spytałem, odsuwając kocyki.

Pod przykryciem leżała matka, nieprzytomna. Jej rude włosy miały zielone przebarwienia na końcach, a kolczyk w nosie stał pionowo, nadając twarzy komiczny wygląd. Wyczułem alkohol unoszący się nad nią, razem z innym wstrętnym zapachem. U nikogo jeszcze nie widziałem tak bladej skóry.

– Wszystko w porządku?

Żadnej reakcji, dotknąłem jej czoła, lodowate. Oddychała, ledwie wyczuwalnie. Jeśli wypila to wszystko, co widziałem, to była zalana poza granicę możliwości, może nawet doznała zatrucia alkoholowego. Zastanawiałem się, jak ją zawiozę do szpitala w tej zamieci. Rozglądałem się po pokoju, szukając jakiegoś ciepłego ubrania.

Ale gdzie jest Mikey?

Ściągnąłem wszystkie koce z łóżka, licząc, że dziecko śpi zwinięte w kłębek.

Ani śladu. Nachyliłem się pod łóżeczko, przetrząsnąłem stertę ubrań i zająłem do szafki.

Dziecka nie ma.

– Mikey! – krzyknąłem.

Bez odpowiedzi.

Wróciłem do pokoju, potem do łazienki. Otwierałem szafki, grzebałem w śmieciach, zaglądałem za meble. Z czasów dzieciństwa Nathana, mojego siostrzeńca, pamiętałem, że dwulatek potrafi schować się w takim miejscu, które nikomu nie przysłoby do głowy; dlatego wyróciłem w przyczepie wszystko do góry nogami.

I nic.

Wróciłem do sypialni i potrząsnąłem matką. Mocno. Chwyciłem ją za ramiona i zawołałem głośno:

– Rose, gdzie Mikey? Zabrałaś go gdzieś? Gdzie on jest!

Otworzyła oczy na moment. Patrzyły w przeciwnych kierunkach i już wiedziałem, że próba jej ocucenia nie ma sensu. I wtedy naszła mnie potworna myśl. Może chłopczyk wyszedł na dwór? Przypomniało mi się, że drzwi nie były zamknięte.

Przyczepa nie miała drugiego wyjścia, więc wybiegłem na zewnątrz i zacząłem się rozglądać po podwórku. Śnieg nadal sypał, ale jeszcze było coś widać. Nie było odcisków stóp, ale to nic nie znaczyło, wzięwszy pod uwagę śnieżycę.

– Mikey! – krzyczałem, biegając wkoło i rozgarniając każdą zaspę. – Mikey!

Na dworze było strasznie zimno, ale nie zważałem na temperaturę. Może

włazł pod przyczepę, do kanału? Wczołgałem się pod podłogę przyczepy i zacząłem kopać w śniegu. Było ciemno i nic nie widziałem. Wstałem i sprawdziłem po drugiej stronie lichego płotu, tuż przy samochodzie.

Samochód.

Ford taurus.

Nie zajrzałem tam, ale to bez sensu, nie? Przecież dzieciak nie może być w samochodzie, nie w taką pogodę.

Podszedłem do pojazdu. Starszy model, ten kanciasty. Okna były zamrożone i nie dało się zajrzeć do środka. Drzwi od strony kierowcy nie otwierały się – były skute lodem, spróbowałem tych po stronie pasażera. Z trudem, ale udało mi się je wyważyć.

Zajrzałem do środka.

Z tyłu był fotelik dla dziecka. Model Graco, popielaty z czarnymi paskami. Sybil, moja siostra, kupiła taki dla Nathana, po obsesyjnym porównywaniu parametrów bezpieczeństwa innych marek. Robiła wszystko, co mogła, żeby mały Nathan był bezpieczny, pamiętałem, że w całym domu były zabezpieczenia przed dziećmi, zaślepki na gniazdkach, ochroniacze na narożnikach – na wypadek potknięcia czy upadku, choć to dorosłych powinno się ubezpieczeniowość przed głupim postępowaniem.

Mały Mikey był przypięty do fotelika, nieruchomy, sztywny. Oczy miał otwarte, wpatrzone przed siebie w nicość, niemrugające, zamrożone na kamień. W samochodzie było cicho, bardzo cicho. Spadające płatki śniegu wyglądały jak cieniutkie blaszki w dogasającym świetle, zobaczyłem, jak królik kica przez śnieg, śpiesząc się do jakiegoś schronienia.

Przez moment pomyślałem, czy mógłbym się jakoś cofnąć w czasie, po prostu przewinąć ostatnie kilka dni, zawiesić prawa fizyki. Może było coś w internecie, a może jakiś słynny naukowiec mógłby przyjechać do rezerwatu i pokazać, jak można się cofnąć i zmienić wydarzenia, jak film przewijany do tyłu. Cokolwiek, żebym tylko nie musiał znowu patrzeć na tego ślicznego chłopczyka, w tym samochodzie, w tej zamieci.

O ile mi wiadomo, matkę oskarżono o znęcanie się nad dzieckiem i nieumyślne spowodowanie śmierci z powodu upicia się i pozostawienia dziecka w samochodzie przez noc. Po złożeniu zeznań na policji nie śledziłem już tej sprawy. Chciałem zapomnieć. I choć bardzo się starałem, nie udało mi się wymazać z pamięci widoku tego chłopczyka. Czasami jego twarz przypominała mi się, gdy widziałem maluchy bawiące się w parku, czasami widywałem go, podróżując po innych częściach kraju. Teraz znów tu jest. Jego słodka buzia.

Rozdział 14 powieści *Zimowe kroniki* (*Winter Counts*, 2020, wydanie polskie TIPI 2022); tytuł pochodzi od redakcji. Publikacja za zgodą wydawnictwa.

David Heska Wanbli Weiden – Lakota Sicangu, z wykształcenia prawnik. Powieść *Zimowe kroniki* to jego literacki debiut. Jest profesorem studiów

tubylczoamerykańskich i nauk politycznych na Metropolitan State University w Denver. *Zimowe kroniki* zostały dotąd przetłumaczone na język francuski, niemiecki, japoński i polski.